



Teresa Krzyżanowska

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0619**

Data urodzenia: **24.01.1932 r.**

Data nagrania: **21.05.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sudół**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 57 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 42 min.**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Teresa Krzyżanowska: W 1939 roku byliśmy z mamusią na wakacjach w Milanówku. Tam rodzina też była. Ojciec wtedy miał powołanie do wojska jako oficer rezerwy, tak że go nie było. Ja miałam wtedy 7 lat. Pamiętam wybuch wojny w ten sposób, że mamusia powiedziała: „Musimy się modlić, bo wojna to jest straszna rzecz”. I te słowa ja sobie tak zapamiętałam, to tak się zaczęła wojna. No, po różnych przygodach wróciliśmy do Warszawy w październiku. Ojciec z wojska pisywał do mamusi codziennie listy. A że był w Bydgoszczy, był świadkiem tej „Krwawej Niedzieli” w Bydgoszczy. I dzień w dzień opisywał, co się działo. Te listy oczywiście nie przyszły, bo wojna, bombardowania, potem Niemcy zajęli Warszawę. Listy zaczęły przychodzić w październiku czy w listopadzie. Z niemiecką systematycznością codziennie przychodził jeden list, aż przyszły wszystkie. Z całym opisem wszystkich zajęć, jakie były w Bydgoszczy. Mamusia truchlała, bo gdyby tak taki list wpadł w ręce niemieckie, to by to dobrze nie było. Dobrze by się nie skończyło. No co, z pierwszych takich przeżyć to mogę powiedzieć, że właśnie ojciec jako oficer rezerwy był powołany do wojska na wiosnę 1939 roku. Pracował wtedy w elektrowni już ładnych parę lat. Był kierownikiem działu oświetlenia ulic. Ponieważ elektrownia, jak cała Warszawa, szykowała się już do wojny i przewidywali bombardowania, było przewidziane zaciemnianie miasta. W związku z tym ojciec był wzywany służbowo do elektrowni. Przyjeżdżał prosto do elektrowni, w mundurze oficerskim. Wszyscy go widzieli. Minęło parę miesięcy, to był listopad czy grudzień, nie pamiętam, koniec roku, Niemcy ogłosili, że wszyscy oficerowie mają się zgłaszać do rejestracji. Oficerowie rezerwy też. Ojciec postanowił nie zgłaszać się. Jeden z tych pracowników podszedł do ojca i mówił: „Panie inżynierze, a pan to co?”. A ojciec mówi: „A ja byłem w wojsku?”. On zgłupiał, mówi: „No nie”. Do końca wojny, znaczy do powstania nikt go nie wydał. Wszyscy pracownicy elektrowni widzieli go kilkakrotnie w mundurze przyjeżdżającego. I nikt go nie wydał, mimo że w elektrowni pracowało czterech folksdojczów i czterech Ukraińców.

Zawsze ojciec to powtarzał. Inni ludzie byli jednak, mimo wszystko. Nikt go nie wydał. No z takich przeżyć wojennych to pamiętam, jak przyszli do ojca jacyś ludzie, których ja nie znałam, i przedstawili sprawę, że w jezdni ulicy Rakowieckiej zakopana jest broń. Trzeba ją wykopać. Zwrócili się do ojca, żeby jakoś pomógł. Ojciec załatwił sprawę w ten sposób, że pracownicy elektrowni, tacy zaufani pracownicy, przyszli z namiotem elektrowni, roztawili ten namiot na jezdni ulicy Rakowieckiej. Tam było napisane Elektrownia Warszawska. Wykopali pod tym namiotem broń i wywieźli. No to było też przeżycie dla nas wszystkich, całej rodziny. I to pamiętam dobrze, mimo że miałam wtedy 7 lat. No potem się zaczęły różne kłopoty. Najpierw aresztowali mamusi siostrę. Już w czerwcu 1940 roku. Mieszkała w Kielcach, została aresztowana. Dwa tygodnie była tylko w więzieniu kieleckim i została wywieziona do Ravensbrück, gdzie na 5 lat przebywała. Ostatnie miesiące przerwali część więźniarek do innych obozów, bo po Powstaniu Warszawskim tyle kobiet przywieźli do Ravensbrück, że było przepełnienie, nie mieściły się, no i wtedy przemieszczali te dawne więźniarki do różnych innych obozów, tak że ją przenieśli do filii obozu Buchenwald, do fabryki amunicji. I tam ją zastała wojna, w Magdeburgu była ta fabryka amunicji. No więc bardzo duże było zmartwienie. Najpierw nie było wiadomo jakie losy. Potem poszła przez Kielce taka wiadomość cicha, powtarzana z ust do ust, że prawdopodobnie będą wywozić z więzienia kieleckiego więźniarki – nie wiadomo, gdzie. Mamusia pojechała do Kielc, do babci, poszły na stację. Oczywiście stacja była obstawiona przez wojsko niemieckie i nic nie mogły zobaczyć. Po pół roku przyszedł pierwszy list z Ravensbrück. Pamiętam, że ja się wtedy obudziłam i powiedziałam, że śniła mi się ciocia Hanka. Tego dnia przyszedł list. Pierwszy. Potem przychodziły te listy, raz na miesiąc więźniarki mogły pisać. No a potem z takich przeżyć to było aresztowanie mamusi brata w Puszczy Białowieskiej. To znowuż był aresztowany przez NKWD. Wrócił dopiero w 1947 roku. Ale to inna historia.

Tomasz Sudot: A jak on się nazywał?

Teresa Krzyżanowska: Proszę?

Tomasz Sudot: Jak on się nazywał?

Teresa Krzyżanowska: Czarniecki. Zresztą tam spotkali się dopiero pod Monte Cassino, mimo że szli jedną drogą, dwaj bratankowie mojego ojca, dwaj Hykielowie. Chłopcy niewiele ponad 20 lat. Ale to znowuż późniejsza historia. Potem został aresztowany cioteczny brat i jego żona. W Radomiu zostali aresztowani. On przeszedł przez pięć obozów koncentracyjnych. Jego żona trafiła do Ravensbrück i do końca wojny była w Ravensbrück, ale to było troszkę później, to był chyba 1941 czy 1942 rok. Z takich przeżyć to pamiętam łapanki.

Tomasz Sudot: Co to była łapanka?

Niemcy obstawiali odcinek ulicy z jednej strony i z drugiej. Stały tak zwane budy, czyli ciężarowe samochody z budą. No i wszystkich, którzy byli na tym odcinku ulicy Niemcy łapali do tych samochodów, potem dostawali się albo do więzienia, albo potem na roboty do Niemiec, albo do obozu koncentracyjnego. Różnie, z różnych łapanek, różne były losy tych ludzi. Pamiętam, to była niedziela chyba, albo sobota. W każdym razie byłam z rodzicami w Alejach Ujazdowskich. To było koło wejścia do ogrodu Ujazdowskich. Zrobił się popłoch okropny, ludzie uciekali – jedni

w tą stronę, drudzy w tą stronę. A ja tak powiedziałam do rodziców, że chodźmy do ogrodu, bo oni tutaj łapią. A ojciec na to odpowiedział, że to wcale nie jest dobrze. Zamkną bramę ogrodu Ujazdowskiego i wszystkich ludzi wyłapią, którzy tam się schronili. Wobec tego raczej trzeba uciekać w drugą stronę. No uciekaliśmy, udało się, nie złapali nas. Drugi raz byłam w łapance jeszcze z taką nianią moją [Natalią], która była w rodzinie 6 lat jeszcze przed moim urodzeniem, a jak przyszła do rodziców, to była przez 70 lat w rodzinie. Umarła tutaj w tym mieszkaniu, jak miała 101 lat. No poszliśmy na Plac Kazimierza, bo tam były stragany z książkami. I idąc, znowuż ulica Sienna była, odcinek ulicy Siennej był zamknięty, łapali ludzi. Uciekaliśmy do jakiegoś domu, patrzymy przez bramę: „podwórko, druga brama, drugie podwórko”. Poszliśmy na to drugie podwórko, wyszliśmy tam na schody, drugie piętro, przeczekaliśmy. Po jakimś czasie, jak wyszliśmy, to już był spokój. To były takie dwa przeżycia. Do szkoły już chodziłam. Poszłam do szkoły przed wojną, jak miałam 6 lat. Do szkoły imienia Emilii Plater na ulicy Pięknej. Tak że jak się wojna zaczęła, poszłam wtedy do drugiej klasy. Szkoła miała ładny swój budynek na ulicy Pięknej. Niemcom się też podobał. Wobec tego zabrali ten budynek na swój użytek. Tak, że myśmy, dziewczynki, które tam chodziły, było przygotowanie do pierwszej komunii. Komunia była przyspieszona, żeby to się odbyło w szkole jeszcze. I zanim Niemcy zabrali budynek szkolny. Tak że w czwartej klasie jak byłam, to już chodziłam do szkoły. Legitymację miałam innej szkoły i tam były lekcje po południu, bo szkoła nie miała swojego lokalu. No, ale to było tylko przez parę miesięcy. Potem szkoła zorganizowała komplety. Przychodziło średnio 8–10 dziewczynek, było w komplecie. Trzy razy w tygodniu przychodziły nauczycielki różne i miały z nami lekcje. Oczywiście to był polski, to była matematyka, historia, przyroda, religia. Oczywiście nie było gimnastyki, nie było robót ręcznych, nie było rysunków, bo nie było warunków do zorganizowania tego rodzaju lekcji. W naszym mieszkaniu, mieszkaliśmy już wtedy na ulicy Siennej, na tym odcinku między Wielką a Sosnową, mieliśmy duże mieszkanie, mieszkaliśmy w domu elektrowni, ponieważ ojciec pracował w elektrowni. Elektrownia miała kilka domów na terenie Warszawy dla swoich pracowników. Z tym domem był właśnie związany cały nasz pobyt w czasie powstania. Elektrownia miała również drugi dom na ulicy Żelaznej, sześciopiętrowy. Tamten dom został uszkodzony już, nie wiem na ile, zbombardowany, w każdym razie ludzie z tamtego domu przyszli do naszego domu. Był kiedyś, ojciec dostał telefon, jakiś pan do niego dzwonił, chciał się z ojcem spotkać. Tajemnicza historia. No więc ojciec przyszedł do domu, mówi, że mam spotkanie z jakimś człowiekiem, nie znam go, nie chciał ani przyjść do domu, ani do kawiarni. Tylko na ulicy chciał się spotkać. No więc podejrzanę nam się to wszystko wydawało. Mamusia się zdenerwowała. Poszliśmy we trójkę. Oczywiście ojciec podszedł do tego pana umówionego jakoś tam, nie wiem, poznali się po jakichś tam znakach na ulicy, a myśmy z mamusią były w odwodzie, żeby wiedzieć, jakie losy ojca, bo mógł zostać aresztowany na przykład. Okazuje się, kto to był. Adwokat, który bronił hrabiny Zamoyskiej, która też była aresztowana i też przebywała w Ravensbrück. Ponieważ były, tak się tam mówiło, na jednym bloku z moją ciocią, właśnie z Hanką Czarniecką, on zawiadomił po prostu, mówił o warunkach, jakie tam są i mówił w jaki sposób trzeba się starać o zwolnienie. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Bo co? Hrabina Zamoyska, która miała różne znajomości i w Polsce i na arenie międzynarodowej, to nie zwykły, szary człowiek, jakim była moja ciocia. Ale pamiętam, że było duże zdenerwowanie przez to spotkanie nieoczekiwane. No z takich dużych przeżyć to potem było aresztowanie męża kuzynki ojca. To była rodzina Gregierów. Oni mieli dwóch synów. Jeden syn miał 16 lat, drugi 18. Wszyscy zostali aresztowani, z wyjątkiem matki, to znaczy ojciec i obydwaj synowie. I z afisza, były rozlepiane przez Niemców w końcowym okresie wojny, nie w początkowym, takie wielkie, czerwone afisze, gdzie zawiadamiali o rozstrzelaniu odpowiedniej grupy ludzi. No i zobaczyliśmy, że rozstrzelany jest właśnie mąż tej kuzynki ojca i starszy syn. Nie było na liście młodszego syna. Po prostu Niemcy nie chcieli jeszcze

jednego dowodu przeciwko sobie, że rozstrzeliwują nawet nieletnich. Ojciec poszedł wtedy natychmiast do tej kuzynki. I wrócił ciężko chory. Jakiś atak był, czy kamieni żółciowych, czy... no nie wiadomo. Nie poszedł potem do lekarza, atak przeszedł, atak był bardzo ciężki. No ale dalej chodził do pracy. Przed powstaniem już się czuło, że będzie powstanie. Oczywiście radia nie mieliśmy, bo Niemcy od razu na początku wojny zapowiedzieli, że wszystkie odbiorniki trzeba oddać, a za posiadanie odbiornika radiowego groziło albo obóz koncentracyjny, albo nawet kara śmierci. Więc nasze radio, które było przed wojną kupione, świeżo, budziło sensację, bo było bardzo takie nowoczesne. Ojciec zakopał w szopie należącej do elektrowni, w ziemi zakopał. Oczywiście wszystko przepadło i szopa przepadła, bo została spalona i radio przepadło. No ale wiadomości to były przeważnie ogłaszane szczekaczkami tak zwanymi. To były głośniki rozstawiane na ulicach przez Niemców, no i odpowiednio do rozmaitych ogłoszeń były podawane te ogłoszenia. Pamiętam, że ogłaszali na przykład listę zabitych oficerów w Katyniu. To było, nie pamiętam już w którym roku, tak w połowie wojny chyba. Pamiętam i to było w gazecie, ogłaszana była lista tych rozstrzeliwanych. Pamiętam jak rodzice siedzieli i szukali znajomych. Ojciec miał różnych kolegów z wojska i nie z wojska, którzy zginęli w Katyniu. No a przed powstaniem to już czuło się po prostu, że będzie powstanie. Ojciec należał do AK. Był w zgrupowaniu „Krybar”. Na Powiślu działało to zgrupowanie „Krybar”. Do niego należała elektrownia. Dowódcą ojca był dyrektor elektrowni Zygmunt Skibniewski. Ojciec go bardzo cenił, bardzo go szanował. Jeszcze po wojnie, jak wróciliśmy do Warszawy, odwiedzał go, jak był ciężko chory. No i potem zawsze. Pochowany został na Powązkach, bardzo blisko kwatery elektrowni, pracowników elektrowni, którzy zginęli w czasie powstania. Zawsze ojciec na 1 sierpnia chodził na Powązki, ja zresztą z ojcem chodziłam. I zawsze zapalaliśmy światło na grobie tego dyrektora Skibniewskiego. Przed powstaniem czuło się już, że to powstanie będzie. Ojciec zresztą przynosił nieraz do domu pisma podziemne. Ja pamiętam z tych pism barykadę Powiśla. Przynosił rzadko do domu pismo, bo przeważnie czytał i oddawał komuś innemu od razu do czytania. Ale jeżeli przynosił, to ja też już byłam na tyle duża, że czytałam z zapalem te wiadomości. Tak że już wiedzieliśmy, że powstanie będzie. Czuło się to w powietrzu. Niemcy zaczęli uciekać. Alejami Jerozolimskimi, czyli trasą ze wschodu na zachód, przejeżdżały samochody niemieckie, oddziały całe niemieckie, nawet furmanki, bo przecież Niemcy sprowadzali swoje rodziny do Polski. Uciekali, nie zawsze mieli samochody, czasem furmanką też. Przez Aleje Jerozolimskie nie można było przejść. Pamiętam, że do mamusi przyszła mamusi koleżanka, taka jeszcze szkolna, pani Żabińska. Posiedziała, porozmawiała z nami. Ostatni raz, bo wszyscy zginęli potem. I odprowadzałyśmy ją. Miałyśmy ją odprowadzić do tramwaju. Doszłyśmy z Siennej do Alei Jerozolimskich. Nie można przez Aleje było przejść. Stałyśmy we trzy. Czekałyśmy. Cały czas tabory niemieckie jechały. Potem była chwila przerwy. Przepuszczali tłum ludzi, który się zebrał z jednej strony i z drugiej strony, od północy i od południa. Ludzie szybko przechodzili i znowu zamykali ulice dla pieszych i tylko te tabory niemieckie jechały. No, jak powiedziałam, ostatni raz widziałyśmy panią Żabińską. Oni mieszkali na Woli. Przeżyli powstanie. Pani Żabińska i jej córka 19-letnia trafiły do obozu koncentracyjnego. Mąż trafił do innego obozu koncentracyjnego. Córka przeżyła, a oni obydwój nie przeżyli obozu. No więc czuło się już atmosferę, że coś się dzieje. Ludzie robili zapasy. U nas też były zapasy żywności. Oczywiście takiej, która się nadawała do przechowania, czyli mąka, ewentualnie ziarno nawet, bo można było na młynku zemleć i chleb upiec w domu, kasze rozmaite. Przede wszystkim takie rzeczy właśnie, które dawały możliwość przeżycia. Oczywiście te, które się psuły, to nie kupowało się tego. Cukier można było kupić jeszcze, o ile był, bo to przecież jeszcze były kartki wtedy, Niemcy wprowadzili. No, także i u nas były dosyć duże zapasy. Wszyscy robili zapasy wtedy. No, ojciec cały czas był w elektrowni. Był wyznaczony na placówkę, na teren elektrowni przy ulicy Kolejowej. Elektrownia tam miała swoje tereny, magazyny i składowiska węgla.

I tam ojciec miał być na początek powstania. Przed powstaniem, mniej więcej na tydzień, przyszedł do domu i powiedział, że ma iść, nie wróci na noc, będzie na Kolejowej. Wobec tego mamusia powiedziała: „Nie będziemy się rozdzielać, pójdziemy razem”. No i poszliśmy wszyscy. Tam był taki pracownik elektrowni, który tam miał mieszkanie na Kolejowej, tak że u nich przesiedzieliśmy. I mnie już położyli spać, ale nie mogłam spać, wrażeń było dużo, i nagle usłyszałam, że jadą Kolejową jakieś samochody. Samochodów w czasie okupacji było bardzo mało, a jeździły tylko niemieckie samochody. Podeszłam do okna, patrzę – a tu kolumna samochodów ciężarowych jedzie. Wskoczyłam z łóżka, zawiadomiłam, bo rodzice siedzieli właśnie z właścicielami tego mieszkania, rozmawiali. Ja mówię: „Są jakieś samochody, jadą”. No więc zdenerwowanie, bo ulicą Kolejową mało, tam nie było ani domów mieszkalnych, ani nic. I właściwie nocą niejechały samochody. Nie miały powodu jechać. Tymczasem te samochody przejechały. Cisza, spokój. Do rana był spokój. Nic się nie działo, powstanie nie wybuchło. Wróciliśmy do domu. Ojciec znowuż był w elektrowni, ponieważ były wakacje. Chodziłyśmy na spacer z mamusią bardzo często, aż do elektrowni z Siennej. Ojciec wychodził i potem wracaliśmy razem. No tymczasem... Jak to się odbyło 1 sierpnia? Wakacje, myśmy były w domu, nagle ojciec przyszedł, to była godzina 11.00, przed 12.00 w każdym razie. No więc nietypowo, bo przecież w tych godzinach nie przychodził do domu. Przyszedł, coś zabrał, powiedział, że wraca z powrotem do biura. Mamusia mówi: „No to my cię odprowadzimy”. Poszliśmy z ojcem, szliśmy. Na Ordynackiej podszedł jakiś pan do ojca. A jeszcze przedtem odezwały się syreny. Syreny odzywały się na nalot, bo przecież były jeszcze rosyjskie naloty wcześniej. Rok wcześniej, w czasie lata było dużo nalotów i były bombardowania rosyjskie. Tutaj był alarm zupełnie dziwny, bo nie było sygnału na alarm, tylko był sygnał na odwołanie. Na alarm to był sygnał syren fabrycznych taki falujący, a na odwołanie był jednolity. I to był sygnał na odwołanie. Więc tak zdziwieni spojrzeliśmy na siebie, jak właśnie odprowadzałyśmy ojca. Mówimy, że nie było alarmu, a teraz jest odwołanie. A to był sygnał już do powstania. I doszliśmy do Ordynackiej. Zatem podszedł jakiś pan, nieznajomy dla nas. Ojciec odszedł na chwilę, zamienili parę słów. Przyszedł ojciec do nas, mówi: „Ja się bardzo spieszę, wracajcie do domu”. No, odszedł. A my z mamusią tak stanęłyśmy i nie wiedziałyśmy, czy iść do domu, czy jeszcze iść gdzieś. Poszliśmy w dół Tamką do kościoła św. Teresy. Przed Wisłą, po lewej stronie jest kościół św. Teresy. Weszliśmy do tego kościoła. Mamusia powiedziała: „Coś się dzieje”. No bo nietypowo się i ojciec zachowywał, i te wycie syren na odwołanie alarmu, którego nie było. Weszliśmy do kościoła, a w kościele pełno młodych ludzi. Młodzi chłopcy, w każdym konfesjonale siedział ksiądz. I przed każdym konfesjonalem ogonek młodych ludzi, wszyscy do spowiedzi. Więc mówiłyśmy z mamusią Pacierz, i wyszłyśmy, poszliśmy do domu. O 2.00 dzwonek. Przychodzą trzy panie, których nie znałyśmy. Przedstawiają się: pani Kozubska z córką 14-letnią i pani Włodarczykowa i jej siostra – żony pracowników elektrowni. Ponieważ wiadomo było, że na terenie elektrowni będą walki, na terenie elektrowni był zainstalowany oddział niemiecki, więc wiadomo było, że będą walki, bo przede wszystkim powstańcy chcieli zdobyć elektrownię, żeby w ich rękach była. Wobec tego trzeba powiedzieć jeszcze, że na terenie elektrowni, w granicach ogrodzenia, był budynek mieszkalny dla pracowników, którzy mogli być potrzebni w każdym momencie. I umówili się pracownicy, że w razie wybuchu powstania żony i rodziny w ogóle tych pracowników nie będą na terenie elektrowni, tylko przejdą. Umówili się, kto do kogo przejdzie. Więc ojciec się umówił, właśnie z panem Włodaczykiem i z panem Kozubskim, że ich rodziny przyjdą do nas. Myśmy wiedziały, że mają przyjść, tylko nie znałyśmy ich. No więc wiedziałyśmy już, że już powstanie. To zresztą już, jak weszliśmy tam do kościoła, to już wiadomo było. No i one już u nas zostały. Jeszcze działały telefony, jeszcze była woda w kranie, jeszcze było światło, wszystko było jeszcze normalnie. O godzinie 5.00 [17.00] wybuchło powstanie. Stałyśmy na balkonie, wszystkie już razem. To znaczy, my z mamusią, nasza gosposia Natalka,

która właśnie była długie lata u nas w domu i właściwie była też członkiem rodziny i te trzy panie, które przysły do nas. Stałyśmy na balkonie i patrzyłyśmy, co się dzieje. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, balkon był od strony ulicy Siennej. I widzimy jak najpierw idzie jakiś gruby Niemiec w mundurze od strony ulicy Sosnowej. Czuł się już nieswojo, bo tak oglądał się raz w lewo, raz w prawo. Czuł niebezpieczeństwo. Z domu naprzeciwko naszego wyskoczyło dwóch młodych ludzi z karabinem. Strzelili do tego Niemca. Niemiec padł, prawdopodobnie już był zabity. Wciągnęli go do bramy. No więc zdenerwowanie. Pierwsza ofiara powstania. Po jakimś czasie kobieta wyszła z wózkiem takim, z wózkiem na jabłka. Jak handlowało się jabłkami, to taki wózek na dwóch kółkach ciągnął ten sprzedawca. Ta kobieta z Niemcem leżącym na tym wózku, popychała ten wózek. I doszła do gruzów. Na rogu Siennej i Wielkiej były gruzy z bombardowania, które miało miejsce jeszcze w 1939 roku. Tam było już jedno wielkie gruzowisko do wysokości pierwszego piętra. Patrzyliśmy z daleka, jak biorą tego Niemca dwie kobiety. Wrzuciły go w te gruzy. Szybko z tym wózkiem wróciły do tego domu, z którego bramy wyszły. To był pierwszy moment. Mamusia powiedziała, czy jeszcze któraś z tych pań powiedziała: „Chodźmy do kościoła, jeszcze pomodlić się”. No więc wyszłyśmy wszystkie do kościoła. Kościół najbliższy był Wszystkich Świętych na Placu Grzybowskim. No ale nie doszłyśmy. Zaczęła się już strzelanina. Już było niebezpiecznie. Mamusia powiedziała: „Wracamy do domu, nie ma co, nie dojdziemy do kościoła”. Wróciłyśmy do domu. Pani Kozubska i pani Włodarczykowa, która była w ciąży już, w zaawansowanej ciąży dzwoniły do elektrowni, do mężów, ale powiedzieli, że nie ma ich. One wiedziały, że są na terenie elektrowni. No potem na drugi dzień powstania znowu dzwoniły i ciągle mówili, że nie ma, no nie widzą ich. Wiadomo, że mój ojciec miał placówkę na Kolejowej, ale oni mieli być na terenie elektrowni. Więc one były coraz bardziej zdenerwowane, co się stało, że ich nie ma. No, co się okazało? Na terenie elektrowni były walki. Niemcy zaczęli uciekać. Wpadli do piwnicy czy schronu. Powstańcy za nimi i zamknęli ich na klucz, w tej piwnicy, Niemców. Okazało się, że i pan Włodarczyk i pan Kozubski lecieli za tymi Niemcami i przy okazji zamknięci byli przez powstańców razem z Niemcami. Po dwóch dniach otworzyli Niemców, no bo musieli im dać jeść, czemu ja się zresztą potem bardzo dziwiłam. Ale to później. I wtedy okazało się, że oni żyją i są właśnie razem z Niemcami zamknięci w piwnicy. Ale co było zmartwienia i co było zdenerwowania, to było. Pani Kozubska, oni mieli syna, 16-letniego Wojtusia. I pani Kozubska opowiadała ostatnie chwile pożegnania. Wojtuś przyszedł i powiedział, że idzie do powstania. No i ona mówi: „Słuchaj, czy wiesz, co to jest wojna, co to jest powstanie? Ludzie giną, wiesz co to jest śmierć?”. On mówi: „Trudno mamusiu, jak drwa rąbią, to wióry lecą”. I to było ich pożegnanie. Ona cały czas, będąc u nas, cały czas myślała o Wojtusiu. Gdzie jest Wojtuś, co robi Wojtuś, czy Wojtuś żyje? No ale powstanie, sprawy się posuwały. Początkowo nie było bombardowania, bo Niemcy nie byli zorientowani, które odcinki Warszawy były w rękach polskich, a które w rękach niemieckich, więc bali się bombardować. No ale walki były. Najwcześniej walki zaczęły się na Żoliborzu, parę godzin wcześniej. Tutaj walki zaczęły się o 5.00, tak jak było przewidziane w naszych stronach. No na razie nocowałyśmy jeszcze, ponieważ nie było bombardowania, to nocowałyśmy na trzecim piętrze. Jeszcze był chleb, jeszcze było w ogóle całe wyżywienie normalne, jeszcze takie, jak w czasie okupacji, normalne okupacyjne, ale to wszystko jeszcze było. Myśmy mieli piekarnik elektryczny, jeszcze była elektryczność, więc potem jak już zabrakło chleba, to się piekło chleb w piekarniku. No ale... Aha, jeszcze takim ciekawym momentem. W pierwszą niedzielę powstania odbywała się msza polowa. W sąsiednim domu na podwórku. W sąsiednim domu, czyli na ulicy Siennej 30. To był dom taki przyklejony do naszego domu. I oczywiście poszłyśmy na tą mszę. Była wzruszająca msza. Były chorągwie polskie. Po raz pierwszy w czasie powstania widać było chorągwie w tym momencie. Byłyśmy na tej mszy. I patrzymy – a to niebo robi się czarne. Czarne od dymów. Już paliła się Wola. Jak wracałyśmy z tej mszy,

no to niedaleko, bo to sąsiedni dom, to patrzyliśmy, jak pali się. Coś się paliło, myśmy nie wiedziały jeszcze przecież co. No potem stopniowo coraz trudniejsze warunki były. Najpierw groziły nam pociski, tak zwane krowy. Gdzieś w pobliżu były ustawione i na tą naszą okolicę ciągle któryś z domów był uszkodzony przez krowy. To była wyrzutnia sześciu pocisków, które najpierw, był taki odgłos jakby albo nakręcali coś, albo jakieś takie, no ludzie mówili, że tak, jak krowa ryczy. Takich sześć odgłosów było i potem nastąpiło sześć wybuchów, sześć pocisków wylatywało. Te pociski nie burzyły przeważnie całego domu, ale burzyły jedno piętro. Wystarczająco, czasem dwa piętra. No więc mieszkanie na trzecim piętrze, co był dom trzypiętrowy, to było ostatnie piętro, to już było niebezpiecznie tam nocować. Ale na parterze był lokal sklepowy, nie było sklepu, opuszczony ten lokal był. Więc przeprowadziliśmy się do tego lokalu, bo był najbezpieczniejszy, wydawało się. Jedno pomieszczenie było od strony ulicy z dużym oknem i drzwiami wejściowymi do sklepu. Potem było pomieszczenie, które nie miało okna, dosyć duże, to było pomieszczenie magazynowe, najbezpieczniejsze wydawało się, a potem następne pomieszczenie miało już okno na podwórko i drzwi na klatkę schodową od strony podwórka. No więc przeprowadziliśmy się do tego pomieszczenia sklepowego, spaliśmy tam już na podłodze, tak pod kocem, jeden przy drugim wszyscy spali. Była taka noc, że pani Kozubska obudziła się nagle. I najpierw zaczęła mówić przez sen. Rozmawiała z kimś przez sen. Potem się obudziła. Mamusia się obudziła, ja się obudziłam. Pytała się mamusia: „Co się stało?”. A ona mówi: „Wojtuś mi się śnił” ..., no i mówi: „Przyszedł do mnie”. Wojtuś, jak się okazało, tego dnia zginął. Ale jeszcze wiadomość nie przyszła, nie wiadomo było. Stopniowo uspokoiła się, dwie panie się uspokoiły, jak już dowiedziały się, że mężowie się znaleźli, że siedzieli dwa dni w piwnicy z Niemcami. Potem zaczęło wszystkiego brakować. Zabrakło wody, światło jeszcze było, telefony działały. Coraz częściej siedzieliśmy już w piwnicy. W piwnicy najbezpieczniej było, na korytarzu, bo na korytarzu nie było okienek, a piwnice miały okienka zewnętrzne. Jedne wychodziły na podwórko, a jedne wychodziły na ulicę Śliską. Nasza piwnica wychodziła na ulicę Śliską, miała okienko. No i na zakręcie piwnicy była żarówka. Pod tym światłem siedziała zawsze starsza pani. Nie pamiętam jej nazwiska, ale wszyscy mówili na nią ciocia od Cholewów. Pan Cholewa to był pracownik elektrowni, który miał tam rodzinę, miał syna, córkę, żonę i dwie ciocie. I jedna z tych cioc miała ogromną książeczkę do nabożeństwa, grubą, czarną książeczkę. I prowadziła wszystkie modlitwy i nabożeństwa w piwnicy, siedząc pod tą żarówką na zakręcie korytarza. Ona czytała albo mówiła modlitwy, a wszyscy w piwnicy się modlili. W czasie powstania nie było ludzi niewierzących. Wszyscy się modlili. Każdą modlitwę kończyła takim wezwaniem do świętego Antoniego: „Święty Antoni Padewski...” – pamiętam, jakbym to dzisiaj słyszała – „Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski, niech nie ginie sława Twoja, niech się spełni prośba moja, ratuj nas”. No i święty Antoni nas jakoś uratował. Myśmy już mieszkały w tym pomieszczeniu sklepowym, natomiast do naszego mieszkania wprowadzili się obcy ludzie jacyś, którzy z kolei nie mogli się dostać do swojego domu, no bo nie wiedzieli, że powstanie wybuchnie. Już nie mogli, nie doszli po prostu do swojego domu. Był jeden młody mężczyzna, dwie młode kobiety. Mamusia żywiła wtedy 11 osób. Bo rozmaici się znajdowali, no były te trzy panie, które przyszły do nas, potem na drugi dzień przyszła znajoma kuzyna ojca, która mieszkała na Pradze, ale już nie mogła się do mieszkania dostać. A wiedziała, że my tu mieszkamy, no to przyszła do nas. Już została do połowy powstania, dokąd był nasz dom. Potem byli najrozmaitsi ludzie, którzy... drugi dom elektrowni, który był na ulicy Żelaznej, sześciopiętrowy, więc duży dom, tamten dom był może nie całkowicie zburzony, ale w każdym razie ci ludzie przyszli do nas. Już nie mogli tam być. Więc u nas było przepełnienie, bo dom był o połowę mniejszy przecież. I w piwnicach też było przepełnienie. Zwłaszcza na korytarzach, gdzie wydawało się, że najbezpieczniej. Przecież Niemcy nie ogłaszali, że będzie nalot. To zaskakiwało, jak się słyszało bomby albo odgłos samolotu, to wszyscy uciekali do piwnicy. To był jeden

sygnał tylko taki. No i siedziało się cały czas bombardowania w piwnicy. Potem, jak ucichło bombardowanie, wszyscy wychodzili. No, modlili się wszyscy wtedy. A ta ciocia od Cholewów miała właśnie taką grubą książkę. Myśmy mówili na nią, że to jest nasz ksiądz, bo wszystkie nabożeństwa prowadzi. A pan Cholewa z kolei nie doszedł do domu. Powstanie wybuchło, ale on gdzieś był na terenie Warszawy, do domu nie trafił. Więc zastępowały go właśnie te dwie ciocie. Coraz trudniej było żyć, bo coraz mniej było do jedzenia. Sklepów nie było, wszystko było... Jeżeli były jakieś sklepy, to też znajdowały amatorów, prawda? Ludzie rzucali się, jeżeli coś było do jedzenia. Zaczął się już głód, ale jeszcze nie taki duży, póki coś tam jeszcze w zapasie, były kasze, mąki i tak dalej. Potem już nie można było piec chleba, bo nie było światła. Wody nie było. Coraz trudniejsze warunki były. Bombardowania były coraz częstsze. Po jednym takim bombardowaniu, bardzo długo trwało, Niemcy mieli taki system, że jak zaczęli bombardować, to jakiś kwartał ulic i bombardowali do skutku. Bombardowali tylko w dzień, bo w nocy bali się, że w swoich trafią. Więc naloty były tylko w dzień. Pociski mogły być w nocy. Zaczynał się głód. No ale mamusia jeszcze żywiła 11 osób. I jakoś żywiła. Ci, którzy się wprowadzili, ci nowi ludzie, którzy się wprowadzili do naszego mieszkania, to się też żywili z naszych zapasów, ale mamusia im nie gotowała, tylko sami się żywili, tam na trzecim piętrze. Był jeden taki nalot, który bardzo długo trwał. I zdawało się, że już nie przeżyjemy. Wszystkie modlitwy szły w tym kierunku, że to koniec naszego życia. Tymczasem nalot się skończył. Cisza. Wychodzimy z piwnicy. Patrzymy – na podwórku wszystko leży. Kawalki dachu, wszystkie szyby od strony podwórka, które w oknach były. Chodziło się po szkłe i po kawalkach dachów. Pamiętam takie swoje wrażenie, takie zdziwienie, że jednak żyjemy. I słońce świeci, bo to był wieczór i słońce zachodzące świeciło. I świat jest normalny i normalnie słońce świeci. Już mieliśmy nie żyć przecież. Wyszliśmy na ulicę Sienną, patrzymy, a dom, gdzie mieszkała moja koleżanka, po skosie, to było albo Sienna 29, albo 27, nie pamiętam, ja chodziłam do tej dziewczynki, już dom nie istniał po tym bombardowaniu. Rozpruty był cały. Widać było tylko pokoje na trzecim piętrze, na drugim piętrze, na pierwszym piętrze. Do parteru wszystko było rozprute. Widać było ściany w różnych kolorach. Wanna jakaś uczepiona była.

Tomasz Sudot: Czy przeżyli?

Nie wiadomo. Nigdy już jej nie spotkałam. Powstanie rozdzieliło ludzi, którzy się znali, którzy się przyjaźnili. Po powstaniu byli wywiezieni, potem się znaleźli w różnych częściach świata. Nie tylko w różnych częściach Polski, ale w różnych częściach świata. Nie ze wszystkimi się spotkaliśmy. Także tej dziewczynki też już nie widziałam. Coraz cięższe były te bombardowania. I jedno takie bombardowanie znowuż było rano. A trzeba jeszcze wrócić do historii, że z elektrowni wychodził pracownik, pan Furmańczyk, to był taki tącznik. On przechodził koło Siennej, przynosił listy od pracowników elektrowni do rodzin. Od nas zabierał listy, jak wracał potem. Szedł gdzieś dalej, nie umiem powiedzieć, gdzie, na jakąś placówkę elektrowni jeszcze. I potem jak wracał, to znowu wstępował, zabierał listy i wracał do elektrowni. I tak było codziennie rano. Wtedy, jak było to takie bardzo ciężkie bombardowanie, nasza piwnica była właśnie od strony Śliskiej i nagle był tak straszny huk, zdawało się, że już nasz się dom wali. Okazało się później, jak wyszliśmy, to zobaczyliśmy, że bomba padła w chodnik ulicy Śliskiej, tak że tuż przy naszym okienku od piwnicy. Posypały się cegły, posypał się pył taki. Siedzieliśmy w naszej... już wtedy nie było miejsca na korytarzu, no bo tłum ludzi, wszyscy chcieli na tym korytarzu siedzieć. Wiem, że myśmy wtedy siedziały właśnie w naszej piwnicy na węglu. Byłyśmy czarne potem. I przyszedł pan Furmańczyk. Wracał do elektrowni. Jak zobaczył, co się dzieje, mówi: „No to w elektrowni jest lepiej”. No bo elektrownia już była w rękach polskich i tam był spokój w tym

momencie. To znaczy, też były bombardowania, ale nie takie jak tutaj, bo tu Niemcy sobie wzięli ten odcinek za..., no zaczęli codziennie bombardować. Mówi: „jak chcecie, to zbierajcie się, ja was zaprowadzę do elektrowni”. No i tak bez mowa, jak żeśmy stały, mamusia nie wzięła różnych rzeczy, które były cenne, schowane na trzecim piętrze w biurku ojca, jakiś złoty zegarek, który ojciec po maturze dostał od swojego ojca. Jakieś..., trudno mi powiedzieć, bo nie pamiętam nawet, co tam było. No ale każdy miał jakieś tam swoje... Ważne i dokumenty i przechowane cenne rzeczy. Oczywiście tego wszystkiego nie wzięliśmy, ale ja za to wzięłam klatkę z kanarkami, no bo przecież nie można było kanarków zostawić na pastwę losu. No i były dwa kanarki: Kundzia i... Nie pamiętam, jak się nazywał kanarek jeszcze, drugi. Z tymi kanarkami wyszliśmy. Mamusia jakieś tam podręczne rzeczy wzięła. No przecież pan Furmańczyk nie miał czasu stać i czekać, aż my się pozbieramy, tak że bez niczego wyszliśmy. I wtedy już nie szło się ulicami, tylko piwnicami. Piwnice były przebite, jedna piwnica, dajmy na to z domu 28, była przebita do domu 26, a następne piwnice z 26 miały przebitą dziurę do domu 24. I tak piwnicami się dochodziło do przecznicy. Jak była przecznica, to trzeba było wyjść na górę, przelecieć przez tą ulicę – jeżeli nie było podkopu pod ulicą, bo czasem był podkop – trzeba było przelecieć górą i znowu piwnicami dalej iść. I tak pan Furmańczyk nas przeprowadził do Ordynackiej znowu. Zaczęła się strzelanina. Jakiś pocisk wpadł. Myśmy się schowały za takim murem, bo akurat wyszliśmy na górę. Padł pocisk, pan Furmańczyk powiedział, że to jest „Gruba Berta”. To były pociski takie, radzieckie zdaje się, jakieś, nie wiem. No w każdym razie to nie była krowa, to był jakiś inny pocisk. Padł niedaleko nas, ale myśmy przeżyły. Doszliśmy do Tamki, Tamką znowu szliśmy, kawałek ulicą, kawałek znowu po bramach. Było bombardowanie w międzyczasie. Stałyśmy w jakiejś bramie. No i tak dotarliśmy do elektrowni. Elektrownia miała bardzo ładne schrony. Tam nie siedziło się w piwnicy na węglu, tylko elektrownia miała w piwnicach urządzone schrony. Poprzedzielane były takim przepierzeniem. W każdym pomieszczeniu były dwa łóżka. No myśmy dostali jako rodzina jedno łóżko, drugie łóżko dostała rodzina państwa tych Kozubskich i Włodarczyków. Bo to nie było miejsca na tyle w schronie, żeby tam się dostawało łóżko, no ale to i tak dużo było. Przywitanie ojca było serdeczne, ucieszył się i ojciec i myśmy się cieszyły, że jesteśmy razem. Natomiast pan Kozubski się tak dziwnie zachowywał. Nie rozmawiał z żoną, położył się na łóżku, leżał, pamiętam, tak leżał, oparty na własnej ręce i nie odzywał się. Więc zwrócił naszą uwagę. Ja się zapytałam tatusia, dlaczego pan Kozubski się nie cieszy, że żona przyszła i córka. Bo tak dziwnie się zachowywał. A tatuś powiedział: no wiesz, jego chyba głowa boli. A on nie miał żonie odwagi powiedzieć, że Wojtuś już nie żyje. On już wiedział. W elektrowni w tym schronie byliśmy tydzień. W elektrowni było spokojniej. Kanarki też przeżyły ten tydzień. Zaczął się atak na elektrownię. Było już bardzo gorąco. Ojciec powiedział: „Musicie wyjść”. I odprowadził nas do konserwatorium. Konserwatorium było na Tamce. Tu, gdzie jest teraz Muzeum Chopina. To był ogromny budynek, konserwatorium. Fasadowo może był podobny, ale on został odbudowany według pierwotnego projektu. On był parę razy przebudowany w ciągu wieków. Tam były mury po półtora metra albo więcej grubości. Mocny budynek stał na skarpie. Teraz jest stosunkowo mały budynek i jeszcze na skarpie jest ogród. A to były granice tego dawnego budynku. Ojciec nas odprowadził i wrócił do elektrowni. A myśmy się dostały do konserwatorium. W konserwatorium profesor Kazuro był komendantem tego domu. To była cała twierdza. Tam w tym momencie już powstanie padło na Starym Mieście, kanałami przechodzili i powstańcy ze Starego Miasta, mnóstwo powstańców było właśnie w konserwatorium.